Wyznania tłumacza

Florian Śmieja

O istocie i funkcji przekładania literatury napisano wiele i każdy z nas naczytał się sporo teoretycznych wypowiedzi bardziej lub mniej przekonywujących i pomocnych. Nie znaczy to, by nie można było do nich dorzucić okruchów własnych percepcji i doświadczeń.

Tłumaczę już kilkadziesiąt lat. Od dziecka fascynowały mnie manipulacje słowem, nęciły wyzwania, by z obcych języków tworzyć wersje rodzime, przyswojone, choć właściwie nie miałem

po temu sprzyjających warunków. Pierwszym moim językiem była gwara śląska, opolska pomieszana z katowicką, jak wiemy, nieskodyfikowana, o mizernej literaturze, wyśmiewana i tępiona przez polonistów, a potem przez różne odcienie gorliwców i nietolerancyjnych kolonizatorów.

W domu rodzinnym nie zaznałem kindersztuby inteligenckiego gaworzenia ani kultu książki. W wiejskiej szkole podstawowej wzrastałem w przeciętnym środowisku rówieśników, dzieci górników, robotników i bezrobotnych, równie jak ja społecznie uwarunkowanych. Owszem, nauczyciele, których z perspektywy odległego czasu nie potrafię sprawiedliwie osądzić, próbowali nauczyć języka oficjalnego, a nawet zachęcić, jak to było w moim wypadku, do wydawania gazetki ściennej. Zasadniczo jednak inteligenckie odzywanie się przybyłych na nasze ziemie nauczycieli do małych dzieci mówiących gwarą – *widzę że miasto sprzyja wzrostowi* – zamiast – *wyrosłeś w mieście*, wywoływały konsternację i lęk powodujące raczej zahamowania niż harmonijny rozwój języka.

Kiedy bardzo wcześnie usiłowałem spolszczyć teksty łacińskie i niemieckie, były to prawdziwe wycieczki z motyką na słońce, gdyż dysponowałem zaledwie słabiutkimi zasobami języka docelowego, tj polszczyzny literackiej. Ten język należało koniecznie wzbogacić.

Ale przyszła wojna, znalazłem się daleko od własnego społeczeństwa, inne języki rozlegały się dokoła. To wszystko nie wpływało dodatnio na moje aspiracje, z którymi trzeba było poczekać do innych czasów. Pomocna była, owszem, lektura. Wcześnie też zrozumiałem, że ważną rolę mogły spełniać przekłady na język polski, które pomagały usprawnić i wzbogacić warsztat, dając okazję do systematycznego wysiłku i częstego zaglądania do słownika, by przyswoić sobie słowa, synonimy, oboczności, idiomy.

Jednym z tekstów, którym wcześnie się zainteresowałem był tom hiszpańskiej prozy poetyckiej „Platero y yo" (Srebroń i ja). Spotkałem się z nim w późnych latach czterdziestych na studiach w Irlandii. Ponieważ proza ta podzielona była na sto kilkadziesiąt niewielkich rozdziałków, robiła wrażenie lektury łatwej. Dopiero po bliższym zapoznaniu się z tymi miniaturami wielkiego kunsztu poety-malarza przekonałem się o złożoności tekstu. Odcienie kolorów, różnorodność flory i fauny, malowanie nastroju, specyfika regionu okazały się nie lada wyzwaniem dla mało przezornego śmiałka, który brał się do przyswojenia arcydzieła literatury światowej swojemu językowi. Musiał np. niezwłocznie dopracować się rozległego spektrum malarskiej palety, ale przede wszystkim zobaczyć kraj poety, by ujrzeć na własne oczy jego świat i umieć go jednoznacznie wyrazić.

Pamiętam, jak nie potrafiąc zidentyfikować ptaka o lokalnej

nazwie, pojechałem do andaluzyjskiego Moguer skąd pochodził autor, Juan Ramón Jimenez, by na miejscu ten problem i inne podobne, zadowalająca rozwiązać. Szczęśliwym trafem znalazłem martwego ptaka pod jednym z drzew koło cmentarza i zacząłem wędrować od domu do domu pytając o jego nazwę. Mieszkańcy miasteczka wcale nie okazali się pomocni. Na pytanie, co to jest? – popatrzyli i mówili, że ptak. Ale jaki ptak? No, dodawali, mały ptaszek. Kto jednak przejechał kilka tysięcy kilometrów, by znaleźć się na ziemi poety, łatwo nie rezygnował. Tłumacz sumienny nie może się dać zniechęcić. Szukałem i pytałem dalej wytrwale. Skoro Jimenez zanotował wiele specyficznych szczegółów rodzinnej ziemi i umieścił w określonym czasie, należało je dokładnie poznać. Dlatego też po wiadomości na temat dawnego sposobu wypiekania chleba poszedłem do piekarza, który będąc osobą w starszym wieku pamiętał jeszcze zwyczaje sprzed lat. Cierpliwie mi wyłuszczył sekrety minionych procedur rzemiosła, uczynnie zapoznał z recepturą i nazwami pieczywa zachowanymi na stronach książki Jimeneza i ledwo już tylko pamiętanymi przez starych majstrów. Musiałem na oczy zobaczyć jeszcze starą sosnę, choć już zwaloną przez piorun, być o świcie w miasteczku w dzień wyruszenia na pielgrzymkę ustrojonych dwukołowych wozów do niedalekiej miejscowości El Rocio. To są korzyści płynące z autopsji.

Tytuł książki też ma swoją historię. Sam zaś utwór należy do tych, które można bez końca cyzelować i doskonalić. Jeżeli

tłumaczenie opublikuje się wraz z tekstem oryginału, można zobaczyć warsztat tłumacza, oglądać jego uniki czy zamierzone odchodzenie od tekstu. Słowem: epifania rzetelnie pojmowanej roboty.

Powieść Luisa Martineza Santosa wzięła rozbrat z panującą podówczas w Hiszpanii prozą socrealistyczną zwaną u nas „produkcyjniakami", uproszczonymi, zafałszowanymi w konsekwencji wizerunkami świata ukazującego w tendencyjnym świetle bytowanie tzw. proletariatu. Te powieści zawładnęły hiszpańskim rynkiem na jakiś czas i były szeroko kolportowane w byłym obozie socjalistycznym.

Złożoność powieści „Czas milczenia" – „Tiempo de silencio" i wyjątkowo trudny język – splot potocznej mowy madryckich przedmieść z językiem medycyny, elementy surrealistyczne i poetyckie stworzyły zagęszczenie lingwistyczne i stylistyczne łamańce, przez które trzeba się było mozolnie przebijać. Do tego autor już nie żył, bo zginął w wypadku samochodowym, nie mógł więc już objaśnić miejsc szczególnie uciążliwych dla tłumacza. W takich specyficznych wypadkach niewiele dawały konsultacje rodaków pisarza, równie jak tłumacz zagubionych, a często uważających za punkt honoru, by jednak dać jakąś odpowiedź. Tu radzę rozwagę. Tłumacz pozostaje sam ze swoim problemem, z kamieniem młyńskim u szyi, aczkolwiek również z ambitnym wyzwaniem i swoją intuicją wzbogaconą bliskim współżyciem z

tekstem. Nie pomaga też krótki termin jego zadania.

Tłumaczem tej książki stałem się przypadkiem. Spytany o opinię przez krakowskie Wydawnictwo Literackie, powieść gorąco poleciłem, wydawnictwo zakupiło prawo do przekładu, lecz nie potrafiło znaleźć tłumacza, który chciałby się podjąć zadania. Zwróciło się do mnie, bym je wybawił z kłopotliwej sytuacji. Reszta jest – jak mówią – historią, aczkolwiek myślę o tej zaszłości bez entuzjazmu. Chociaż przekład znalazł swoich entuzjastów, ja do tej książki nie zaglądam. Stoi na półce.

Pokusiłem się o przyswojenie wyboru legend i listów literackich celebrowanego poety romantycznego Hiszpanii, Gustawa Adolfa Becquera. Pisarz ten znany w swojej ojczyźnie przede wszystkim z niedościgłych liryków, jest w tej książce narratorem tradycyjnych i twórcą własnych podań. Powiedział sam wyraźnie, że:

> Niełatwo rozróżnić to, co wyśniłem, od tego, co mi się wydarzyło.

W przekładzie starałem się odtworzyć subtelność uczucia bez popadania w sentymentalność, chciałem też, by mając w ręku listy literackie, polski czytelnik czuł, że posiadł klucz do liryki Becquera, nadal czekającej na kongenialne oddanie w języku

polskim.

Innym utworem klasyki hiszpańskiej, który mnie urzekł, to szesnastowieczna nowela sentymentalna o mauryjskiej tematyce – Historia Abindarraeza i pięknej Haryfy – krążąca również pod tytułem Abencerrag. W tym wypadku mamy do czynienia z wczesną perłą prozy kastylijskiej, z podaniem o rycerskości kombatantów na płynnej granicy chrześcijańsko-muzułmańskiej w Andaluzji. Aczkolwiek przedstawionych adwersarzy różni rasa, narodowość i religia, łączy ich etos szlachetnego człowieka, który w końcu zwycięża.

Dla tłumacza pewne wyzwanie stanowił nie tylko język epoki, ale również dworska dykcja używana nie tylko w dialogach, ale również w cytowanych listach, a także kwiecisty styl wynurzeń kochanków, sentymentalność, ale nie łzawość. Aczkolwiek wizerunek obu obozów ogranicza się do elity, do reprezentantów przednich rodów, przesłanie opowieści jest szlachetne i daje przykład wzniesienia się ponad uprzedzenia i zwyczaje epoki. Jaśnieje nie tylko postać bohaterskiego hiszpańskiego wodza, ale także ogłada i cnota arabskiego przeciwnika. Obaj zasłużyli na miano człowieka.

Wymienię tu także dwie powieści meksykańskie przeze mnie przełożone i drukowane w Krakowie i Wrocławiu. Tłumacząc literaturę dawnej kolonii, przechodzimy z języka macierzystego,

kastylijskiego, do języka byłych posiadłości imperialnych, nieco innego w słownictwie, idiomach, stylu, o odrębnej ewolucji i funkcji, słowem, mamy do czynienia z odmiennym medium różniącym się bardzo od języka-bazy, w tym wypadku hiszpańskiego, tak jak inaczej musielibyśmy podchodzić do tekstów literatury amerykańskiej w kontraście z dziełami pisanymi przez Brytyjczyków.

Pierwsza z tych powieści to „Gniew" Mariana Azueli, w oryginale „Los de abajo". Jest to oryginalna powieść o rewolucji i prototyp gatunku. Sądzę, że bardzo mi pomogła wyprawa w okolice, w których rozgrywała się akcja powieści. Spod Guadalajary pojechałem autobusem do Zacatecas pilnie studiując krajobraz i ludzi, by tłumaczenie szło gładko. Jestem przekonany, że zaoszczędziłem sobie wielu wahań i wertowania słowników znając krajobraz z autopsji. (Tu może napomknę o wczesnym tłumaczeniu z języka angielskiego książki o Fatimie, która ukazała się bodaj w 1956 roku w Londynie i w Polsce była ulubioną książką UB, bo jej szukało nawet w bibliotekach klasztornych). Otóż, w tekście angielskim słowa *hill, mountain, elevation, hight* mogły znaczyć różne rzeczy: górę, wzgórze, wzniesienie, pagórek, kopiec – a ja, nie znając Portugalii, musiałem w ciemno decydować, którego słowa użyć. Nie jest to komfortowa sytuacja i jak tylko było to możliwe, pojechałem do Fatimy, by zobaczyć na własne oczy to, co znałem tylko z tekstu i z jednego tekstu wkładałem w drugi. Ale przekład już się wtedy

ukazał, więc to co sknociłem, pozostało. (Pewnie każdemu tłumaczowi zdarzają się fatalne potknięcia, mimo ustawicznego dzierżenia się na baczności. Pół biedy, jeżeli wydawnictwo, z którym współpracuje, zatrudnia wytrawnego i doświadczonego redaktora, którego smykałka i erudycja w lot błąd wychwycą i poprawią. Najczęściej jest jednak inaczej, pomyłkę utrwali druk, a choć może czytelnik go nie zauważy, pamięta o nim autor do końca życia. Jedną z moich przykrych wpadek było odczytanie z dużej litery pisanego angielskiego słowa *Quinquireme*, jako imię własne zamiast *pentera* w wierszu Johna Masefielda w trzytomowej „Antologii poezji angielskiej" wydanej przez PIW. Chochlik także sprawił, że nagle pisząc o srebrnym osiołku Srebroniu nazwałem go złotym, sprawiając wymarzoną niespodziankę krytykowi. Nie na próżno mawiał redaktor Mieczysław Grydzewski, by sprawdzać i sprawdzać bez końca. Raz jeszcze porzekadło, by jechać koniecznie do krainy poety, którego chcemy zrozumieć, okazało się ważne. I nadal taki wojaż każdemu tłumaczowi polecam.

Druga powieść meksykańska, która przeszła przez mój warsztat była popularną powieścią z czasów *cristeros*, katolickich powstańców, którzy walczyli z rządem narzucającym siłą ateizm. Tło geograficzne poznałem w czasie pobytu w zachodnim Meksyku, a także od wielu górali, którzy brali udział w walkach. Odwiedzałem ich w ich wioskach i długo z nimi rozmawiałem. Ta przygodowa historia dwojga kochanków należy do łatwych

czytanek, których nie sposób odłożyć, bo wciągają nie roszcząc sobie żadnych pretensji do nowatorstwa i wyrafinowanych technicznych zdobyczy. Uważałem, że i takie książki należy tłumaczyć, szczególnie z języków mniej w Polsce dostępnych. Mój przekład ukazał się jako „Zadumana" w prywatnym wydawnictwie Wacława Bagińskiego we Wrocławiu. Było to niestety wydawnictwo bez siły przebicia, choć ambitne, lansując szereg znakomitych pozycji wydawniczych.

Na minutę zatrzymam się przy krótkiej powieści, którą tłumaczyłem z języka portugalskiego na polski. Myślę o „Misji" Ferreiry de Castro. Przełożywszy i wydawszy ją jako pozycję serii Jednorożca w Państwowym Instytucie Wydawniczym, zobaczyłem ją później jako sztukę pasującą na tamtym etapie ideologom PAX-u. Zrobienie z powieści scenariusza i wprowadzenie na scenę bez wiedzy tłumacza było sprawką ówczesnych działaczy kulturalnych.

Jestem też autorem polskiej wersji wybranych liryków arabsko-andaluzyjskich wydanych po raz pierwszy po hiszpańsku w latach czterdziestych ubiegłego wieku przez wybitnego arabistę Emilia Garcia Gomeza. Utwory te napisane w języku arabskim powstały w średniowiecznej Andaluzji i ich ułomki zachowały się do naszych czasów, by przetłumaczone na hiszpański zadziwić świeżością, delikatnością i wielkim kunsztem poetyckim. Są one owocem orientalnej tradycji i hiszpańskiego krajobrazu: kasydy i

gazele, ody i erotyki sławiące miłość, noc, biesiady, wodę, oręż i konie.

Okładki tłumaczonych książek.

Przekładanie nie z oryginału zmusza do używania tekstu pośredniczącego za wzór podstawowy, tzw. rybki. On dyktuje nie tylko treść, ale i formę. Jest to kompromis nie do ominięcia. Dla mnie, nie znającego języka arabskiego pierwowzoru, nie było innego wyjścia. Zawierzyłem we wszystkim uczonemu arabiście hiszpańskiemu, a w czasie wymiany listów z nim, ambasadorowi

w Bagdadzie, trzymałem się go ściśle, nie dopuściłem się żadnej redukcji ani amplifikacji sądząc, że w ten sposób nie popełnię żadnych ekscesów, a polski czytelnik jednak odczuje smak tej niezwykłej, sędziwej liryki.

Zachowałem też pieczołowicie nazwiska średniowiecznych autorów oraz daty ich życia i twórczości. Skoro nie była to poezja anonimowa, uważałem, że należy zachować jej osobliwość i wyróżniające cechy. Łobodowski natomiast, który również się kasydami i gazelami zainteresował, wymyślił teorię zgodnie z którą poezja arabska była domeną publiczną, a polegała na przetwarzaniu motywów powszechnie znanych, gdzie normalne były zapożyczenia. Ceniło się sprawność z jaką poeta z zastanych elementów potrafił zestawić zaskakujący utwór. Ważna była maestria, a nie oryginalność. Tylko zachodzi pytanie, czy polski pisarz, nie znający języka arabskiego, nawet jeśli mieszkał w Hiszpanii, może twierdzić, że obraca się w kręgu i klimacie średniowiecznej arabskiej poetyki i jej bardów? Wolno mu brać od nich bezkarnie utwory i wtrącać je w anonimat, w imię jakiejś kapryśnej teorii przywłaszczyć sobie cudzą pracę?

Próbowałem też przekładać z języka polskiego na język hiszpański. Kiedy zebrała się kolumna przetłumaczonych aforyzmów J.S. Leca, drukowałem ją w czasopismach hiszpańskich, kolumbijskich czy meksykańskich. Pokusiłem się później o mały wybór i moje wysiłki zostały ukoronowane

książeczką „Pensamientos desmelenados”, którą w roku 1985 w nakładzie czterech tysięcy wydała meksykańska *Universidad Autonoma*. Innym eksperymentem było przekładanie, względnie współpraca nad przekładem własnych wierszy. Czytając takie angielskie wersje nieodmiennie czułem inność tonacji tych wierszy. Napisałem nawet wiersz czy dwa po angielsku chwyciwszy widocznie falę, ale był to wyjątek nie rokujący żadnej nadziei na obfitsze żniwo.

Byłem na kilku ogólnopolskich konferencjach przekładowych w Krakowie. Jedna z nich obrała sobie prowokacyjny tytuł „Czy zawód tłumacza jest w pogardzie?” Chodziło w zasadzie o tłumacza literatury pięknej. Odpowiedzi były raczej pesymistyczne. Ogólnie przyznawano, że to już nie te czasy, kiedy „Psałterz” był Jana Kochanowskiego, „Jerozolima wyzwolona” Piotra Kochanowskiego, „Dworzanin” Górnickiego, a „Książę niezłomny” był Juliusza Słowackiego.

Tłumacz dzisiejszy, stwierdzono, pracuje w innej zupełnie sytuacji. Rzadko kiedy tłumaczy sobie a muzom: najczęściej jest na etacie. Kontraktuje go wydawca, który u niego zamawia tłumaczenia i płaci mu, niewiele, ale płaci.

Inaczej zgoła ma się tłumacz z Bożej łaski. Polubi tekst, przekłada *con amore,* ale najczęściej bez komercyjnego powodzenia. Po pierwsze, nie podpisał kontraktu, więc może się

okazać, że nie otrzyma praw autorskich, albo że już się spóźnił i ubiegł go ten, co rutynowo pracował na zamówienie.

Wiem o czym mówię, bo przełożywszy chilijską sztukę „Papierowe kwiaty” i mając w kieszeni pozwolenie autora, zobaczyłem tę samą sztukę nieco później wydrukowaną w „Dialogu”. Przekładu dokonała pani, która nie posiadała autoryzacji, ale znalazła łatwy dostęp do miesięcznika, zdawało by się poważnego czasopisma fachowego, dbającego o zachowanie dobrych manier wydawniczych. Drukując sztukę rzutka osoba dostarczyła gotowego tekstu reżyserom teatrów i przesądziła sprawę. Piractwo? Nowe metody?

Skoro o złych zachowaniach mowa, to do kolekcji dorzucę jeszcze jeden rodzynek. Bawiąc kiedyś w Warszawie rozmawiałem o wspomnianej już uprzednio, a przełożonej z języka portugalskiego krótkiej powieści Ferreira de Castro „Misja”. Mój rozmówca przytaknął mówiąc, że o takiej sztuce słyszał. Poprawiłem, że to była proza, ale okazało się, że on miał rację. Pokazał mi repertuar teatrów warszawskich. Istotnie Teatr Propozycje grał sztukę Ferreira de Castro. Ponieważ wystawienie zorganizował „Pax”, poszedłem się poinformować o sprawie.

Okazało się, że Teresa Sobańska-Dąbrowska adaptowała powieść i zrobiła z niej tekst sceniczny. Pamiętam, że reżyserowała

sztukę Magda Teresa Wójcik, a grali m.in. Henryk Boukołowski, Piotr Brzeziński, Krzysztof Kalczyński, Cezary Kapliński i inni. Zapanowała chwilowa konsternacja, a potem ratowanie sytuacji. Na pamiątkę dostałem wydrukowane zaproszenie. Widniało na nim nazwisko autora i sprawczyni scenariusza. Zgodnie z takimi praktykami mojego nazwiska nie było. Wręczono mi natomiast wiązankę kwiatów na pocieszenie, tysiąc złotych i bilet na przedstawienie 17 grudnia 1974 roku. Nie wiem czy i jak załatwiono sprawę z wydawnictwem PIW, w którego serii Jednorożca ukazał się w 1972 roku mój przekład.

Może warto jeszcze dodać, że tłumacz żyjący na emigracji miał nie tylko spóźniony start i najczęściej ubiegali go lokalni ludzie, ale ponadto nie liczył się w oczach naukowców i krytyków lojalnych wobec władz, a tych nie brakowało. Piszący o Jimenezie z lekkim sercem odpisywał na straty trud Łobodowskiego uważając, że nasze przekłady nie były ważne, skoro mieszkaliśmy na emigracji. Nie przyszło tym naszym ówczesnym krytykom do głowy, że w jednym wypadku wynosili trwanie Jimeneza do śmierci poza Hiszpanią, a w drugim ganili rodaków za przebywanie na obczyźnie. Tłumacz literatury pięknej jest jednym z jej największych miłośników, bo pracuje za marne pieniądze, jeśli nie za darmo, poświęca wiele trudu dla sprawy dokładając nieraz do wydawnictwa. Bardzo często oddaje swój przekład za darmo, ciesząc się, że się ukazuje drukiem. Przekład bywa niekiedy hołdem zapalonego wielbiciela. Kiedy na początku

dziewiętnastego stulecia zapanował kult hiszpańskiego dramaturga Calderona, Juliusz Słowacki nauczył się języka hiszpańskiego, by wyczarować genialny przekład i stać się współautorem „Księcia Niezłomnego”. Przekład każdego wybitnego dzieła literackiego jest znakomitym wkładem nowej energii w rodzimą literaturę. Mamy przykłady licznych emigrantów, wkładających wiele wysiłku i pieniędzy, by zostawić taki legat i starannie deponujących egzemplarze w archiwach i wielkich bibliotekach zagranicznych. Paradoksalnie więc, w ten sposób jest propagowana literatura piękna, a satysfakcja z obcowania z tekstem znaczącym i zadowolenie z przyswojenia językowi polskiemu obcego dzieła, to wszystko czego może spodziewać się tłumacz. Bo zazwyczaj, jeżeli już ukaże się omówienie książki, najczęściej nie znajdziemy nawet nazwiska tłumacza, a tym bardziej oceny wysiłku, jaki włożył w swoją pracę, a bez którego książki by po prostu po polsku nie było. Ileż to razy przekład jest rekreacją i świetnym dziełem, pomyślmy tylko o mistrzostwie Boya-Żeleńskiego, o Słowackim.

Nie znaczy to, by nieprzeciętnych tłumaczy nie było i dziś. Niektórzy z nich właśnie dzięki przekładom z literatury zasłynęli i zdobyli pozycję, zaszczyty i godności. Myślę tu o Karlu Dedeciusu.

Poszczęściło się polskiej literaturze, że Dedecius, który zaczynał od tłumaczenia Rosjan, szczególnie upodobał sobie polską

poezję. W tekstach polskich znalazł właściwe natchnienie, które stało się początkiem wyjątkowej kariery. Na początek ułożył antologię „Lekcja ciszy” (Lektion de Stille) i wydał ją w 1959 roku. Znalazło się w niej 36 poetów z kraju i emigracji. Antologia stała się wielkim sukcesem i miała kilkadziesiąt omówień w czasopismach w Niemczech.

Dobrze pamiętam okoliczności powstania tej antologii, gdyż w Londynie otrzymałem list tłumacza z prośbą o pomoc. Współpraca z nieznajomym Niemcem nie znajdowała w owych czasach wielu zwolenników ani w kraju ani za granicą. Z przyzwoleniem Józefa Jaksińskiego, który posiadał bogaty zbiór poezji, przygotowałem trzy paczki książek i wysłałem 30 zbiorów wierszy do Niemiec. W niecały rok później ukazała się antologia. A w ślad za nią, powstała cała biblioteka przekładów, które pilny Dedecius szykował z uporem i zdumiewającym kunsztem.

> Tłumacz to, co oryginalne, nie to, co naśladowane, podrabiane, przypadkowe. Unikaj rzeczy chodliwych. To, co dobre, zachowa swoją wartość tak, czy inaczej

– napisał Dedecius w „Notatniku tłumacza”.

Rada to czy pociecha?

Artykuły powiązane:

http://www.cultureave.com/opowiadanie-polaka/

http://www.cultureave.com/fatima/

http://www.cultureave.com/sladami-srebronia-juan-ramon--jimenez-1881-1958/

http://www.cultureave.com/wschod-ogladany-przez-pejzaz--andaluzyjski-o-kasydach-i-gazelach-jozefa-lobodowskiego/

http://www.cultureave.com/tlumacz-wytrawny-karl-dedecius/

Prof. Florian Śmieja otrzymał w 2015 roku od króla Hiszpanii Filipa VI Krzyż Komandorski Orderu Izabeli Katolickiej za działalność translatorską i propagowanie języka, kultury i literatury hiszpańskiej na świecie.

http://www.cultureave.com/wywiad-z-prof-florianem-smieja/